

2. KORZENIE I POSTAWY

Pokolenie pomostu

Większość przedsięwzięć w skali krajowej w okresie PRL-u miało wydźwięk polityczny. Niewątpliwie do nich zaliczała się informatyka. Wówczas traktowałem informatykę, zupełnie nową dziedzinę działalności człowieka jako narzędzie, które powinno zdemokratyzować komunistyczną dyktaturę i uczynić bardziej produktywną, co w rezultacie mogło przynieść wymierne korzyści wszystkim mieszkańcom Polski. Na całe szczęście nie było wówczas hasła „im gorzej tym lepiej”. Większość ludzi z mojego środowiska, tzn. „inteligencji pracującej”, miało patriotyczny stosunek do Polski. Nie przypominam sobie, aby wśród osób, z którymi obcowiałem, a dodam bardzo doświadczonych przez wojnę i Sowiety, panował cynizm i spryt obliczony na tzw. „dojenie” państwa. Pozytywny i patriotyczny stosunek do Ojczyzny, szczególnie pod nową okupacją, wynosiło się z domów i rodzin takich jak moja.

Później byłem świadomy, że nieraz patrzono na mnie jak na „wariata”, który nie brał pod uwagę faktu, że PRL była nienormalnym krajem. Ci, co brali pod uwagę tego typu korektę, pracowali na niby. To, że PRL mimo wszystko funkcjonowała wynikało z faktu, że miliony Polaków nie było cynikami i pracowało dobrze, a nawet ofiarnie, jak tylko na to pozwalał niesprawny i niesprawiedliwy ustrój społeczno-gospodarczy i polityczny. Ci co uwzględniali ową „poprawkę” byli cynikami, stojącymi najbliżej władzy. Oni ją znali i nie mieli złudzeń, co do intencji aparatu reżimu. Było ich kilkadziesiąt tysięcy, to jest mniejszość nie pozwalająca kwitnąć większości.

Dlatego kreślę tu szkic mojego środowiska, które jest podobne do tysięcy polskich rodzin inteligenckich, które poniosły największe ofiary w wojnie, a pomimo to nadal były pozytywnie nastawione do pracy, jakby organicznej, dla Polski.

W rezultacie stanowimy „pokolenie pomostu”, którego rodzice żyli w demokratycznej Polsce przed II wojną światową, sami żyliśmy w niewoli pod IV zaborem sowieckim, a nasze dzieci żyją już w demokratycznej Polsce, odrodzonej po 1989 r. Według planów niemieckiego okupanta moje pokolenie miało albo nie żyć albo być niewolnikami. Według sowieckiego okupanta pokolenie to miało być ubezwłasnowolnione, skazane na ogłupienie i służbę dla imperium sowieckiego. Wbrew temu, co było nam przeznaczone, nie daliśmy się ogłupić ani zawisnąć w próżni. Historia nie urwała się na nas, po 1989 r. Polska nie zaczęła przecież od zera. Jedynie może gospodarczo i politycznie zaczęliśmy niemal od początku, ale nie duchowo i kulturalnie. Na barkach pokolenia pomostu spoczęła ogromna odpowiedzialność przeniesienia z pokolenia rodziców wartości narodowych, uniwersalnych i ogólnoswiatowych. Było i jest dużo świństw, dużo chamstwa, ale rdzeń kultury polskiej nie dał się zniszczyć dzięki świadomości pokolenia pomostu. A o to właśnie chodziło okupantom niemieckim

i sowieckim by moje pokolenie poszło na straty czy to „kominem”, czy w „spółdzielni pracy próżny trud”. Miała nastąpić zagłada fizyczna i chociaż zginęły miliony rodziców i dzieci, ale my, przeżyliśmy i z nami przeżył i „duch”, który odrodził się wspaniale jak Feniks z popiołów.

Gdy wybuchła II wojna światowa miałem 2 lata. Urodziłem się w wojskowym szpitalu w al. Ujazdowskich w Warszawie. Mieszkaliśmy w Warszawie, na Mokotowie na rogu ul. Kazimierzowskiej i Madalińskiego. O parę domów dalej, w kierunku ul. Rakowieckiej znajdował się zakon sióstr Niepokalanek, które prowadziły przedszkole, dokąd odprowadzała mnie niania Gienia Stępień.

Ojciec mój Stanisław był prawnikiem z wykształcenia i działaczem społeczno-politycznym z zawodu i powołania. Urodził się w Warszawie w 1893 r. z ojca Kazimierza i matki Zofii z Góreckich. Do 1918 r. był zastępcą komendanta Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) w Częstochowie. Po uzyskaniu niepodległości, organizował polskie placówki dyplomatyczne w Rumunii, Grecji i Jugosławii oraz we Francji. W 1920 r. przerwał służbę dyplomatyczną i jako ochotnik wstąpił do wojska na wojnę z bolszewikami. Spieniężył swoje zasoby, aby ufundować 200 koni i siodła dla 211 Pułku Ułanów na Wyprawę Kijowską, w której został ciężko ranny w bitwie pod Lidą. Z pobytu w nowo powstałej Jugosławii napisał książkę *Królowa Draga*, a z pobytu we Francji powstała książka *Piękna Zoa*. Były to książki popularyzujące historię owych krajów przez sylwetki „kobiet o płomiennych sercach”, a które dzięki temu dochodziły do szczytów władzy.

Jedną z takich kobiet może i była królowa rumuńska Helena, księżniczka grecka, zdradzana jawnie i za jej zgodą, żona króla Karola II, jakbyśmy to dzisiaj nazwali — playboya, który miał sławny romans z panią Lupescu, nota bene, z którą ożenił się na wygnaniu po II wojnie światowej w Portugalii. Ojciec, przystojny, szarmancki kawaler jeździł konno z królową Heleną, co nie uszło uwadze rodziców króla, królowej matce Marii i królowi ojcu Ferdynandowi Hohenzollern. Ponieważ Ojciec, wówczas jeszcze kawaler, spotykał się za często z ich synową, władze rumuńskie poprosiły go o opuszczenie kraju.

Pracę w dyplomacji (niedoszły wyjazd na placówkę do Teheranu) przerwało mu pierwsze małżeństwo i rozwód z primadonną Opery Wileńskiej — panią Korsak, po czym na krótko wstąpił nawet do zakonu. Później mój Ojciec publikował w prasie codziennej oraz zajmował się działalnością społeczną. W 1932 r. zorganizował pierwsze wczasy pracownicze — obóz morski im. Stefana Żeromskiego na Polance Redłowskiej k/Gdyni oraz wczasy narciarskie w Zakopanem. Był działaczem Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem. Przyjaźnił się z Rydzem-Śmigłym, był upatrywany na fotel ministra Opieki Społecznej w przyszłym rządzie Pierackiego, do czego nie doszło z uwagi na zabójstwo premiera-desygnata. W okresie od 1 kwietnia 1940 r. do czasu aresztowania przez gestapo (ostrzegał Ojca przed tym Adolf Dymsha) w dniu 4 grudnia 1940 r. był szefem Działu Gospodarczego i członkiem ścisłej Rady Komendy Głównej Organizacji Wojskowej Okręgu Warszawskiego. Organizacja ta weszła po-

tem w skład Związku Walki Zbrojnej, który następnie w 1942 r. przekształcił się w Armię Krajową.

Dalej droga życiowa Taty, Mamy i moja miała wiele wspólnego, egzekucje, rany i śmierć Ojca. Zaraz po aresztowaniu Ojca zostaliśmy z Mamą wezwani na widzenie z Ojcem do Gestapo przy ul. Szucha. Pamiętam to widzenie, byliśmy w biurze na piętrze. Niemiec poczęstował mnie cukierkiem i zapytał się, czy uczę się po niemiecku. Powiedziałem, ja chłopczyzna 3-letnia, że „jeszcze nie *zdążyłem* nauczyć się po niemiecku, ponieważ uczę się po francusku”. Mama westchnęła z ulgą, że nie powiedziałem tego, co czułem w tym czasie do Niemców. Nasza wizyta miała zmiękczyć Tatę, aby wydał współpracowników z konspiracji. Ponieważ nie zrobił tego, został wysłany do Oświęcimia. Myśmy natomiast wyjechali z Warszawy na pewien czas, aby zniknąć Niemcom z oczu.

Mama moja Halina była o 14 lat młodsza od ojca, z którym wzięła ślub w 1931 r. Urodziła się w majątku Bortniki koło Winnicy na Podolu w 1907 r. z domu Krzyżańska (dziadek — Andrzej). Moją babcią po kądzieli była Maria Krzyżańska z Zagrobskich. Wymieniam oba nazwiska po to, by wskazać jak oba wywodzące się z „krzyża” i „grobu” miały przepowiadać los mojej rodziny. W 1917 r. w czasie Rewolucji Bolszewickiej dziadkowie zostali wyrzuceni z majątku i zesłani na Wyspy Sołowieckie na Morzu Białym, a starsi stryjowie zostali zastrzeleni na miejscu. Mama wtedy znajdowała się na stacji w Kijowie, gdzie była świadkiem krwawej rozprawy Feliksa Dzierżyńskiego z jego rodakami. Szczególnie utkwił Mamie — dziewczynce wtedy widok Polaka, któremu Krasnoarmiejcy wyrwali kiszkę i okręcili nią biedaka wokół słupa. Ten przerażający obraz przekazany przez Mamę prześladowe mnie do dzisiaj.

W 1920 r. Mama jako 13-letnia dziewczynka wbiegła na dworzec kijowski, z którego odjeżdżał ostatni pociąg z polskim wojskiem. Biegła wzdłuż wolno odjeżdżającego pociągu, wołając, że szuka wujka płk. Suchowieckiego (także walczył w Armii Rosyjskiej z Japończykami o Port Artur w 1904 r.). Odnalazła go i tak wydostała się z Sowieców. W Warszawie została wzięta pod opiekę przez wujostwo Suchowieckich, a potem przez kuzynostwo Tokarzewskich. Bratem rotmistrza Wilusia Tokarzewskiego (zginął w Katyniu) był infułat (na prawach biskupa) Marian Tokarzewski, kapelan Marszałka Piłsudskiego (udzielił mu drugiego ślubu), stąd rodzina i Mama miała liczne znajomości towarzyskie. Mama była zawsze dumna, że tańczyła w drugiej parze na balu na Zamku, z okazji wizyty w Polsce marszałka Francji Ferdinanda Focha.

Małżeństwo Rodziców było szczęśliwe nie tylko do czasu aresztowania Ojca przez Gestapo, ale przez dalsze pięć lat przymusowej rozłąki było przykładem wielkiej miłości i poświęcenia. Przez te całe lata Mama posyłała Tacie regularnie najbardziej pomysłowe paczki, dzięki którym mógł przeżyć takie obozy koncentracyjne jak Oświęcim, Gross-Rosen i prawie Nordhausen-Dora. Podobne paczki Mama posyłała kilku innym więźniom wskazanym przez Ojca, w tym 20-letniemu Mietkowi Mołdawie, który po powrocie z obozu stał mi się prawdziwym bratem. Dobieranie zawartości paczek było bardzo staranne. Pamiętam,

że wśród przesylek był pełen zalet odżywczych: chleb, smalec, cebula i czosnek. Paczki były zalewane starannie stearyną, aby nie dostawało się do nich powietrze. Listy od Taty z obozów przychodziły regularnie, pisane przez Ojca po niemiecku. Tłumaczył je nam sąsiad w kamienicy prof. R. Kunze z SGGW, wkrótce zamordowany bestialsko przez Niemców.

Mama przechowywała dwóch żydowskich lekarzy, których pamiętam tylko z imion „pan Jan i pan Władysław”. Raz pojawił się u nas „Kazik” uciekinier z Oświęcimia z wiadomościami od Ojca. Mama była tą wizytą przerażona, bała się bowiem „wsypy” albo prowokacji. „Kazik” następnie miał przedostać się do Radomia, ale już więcej o nim nie słyszeliśmy. Pewnie nie dojechał: był ogolony, wychudzony, zadowolony, pewny siebie i nieostrożny. Nasze mieszkanie było punktem kontaktowym AK, raz nawet odbyło się u nas posiedzenie Delegatury Rządu. Mama żyła na krawędzi totalnego ryzyka, była w stałym napięciu nerwowym, paliła papieros za papierosem, po trzy paczki dziennie, nawet w łóżku, co było nieraz powodem małych pożarów. Z powodu papierosów zmarła w 1975 r. na ciężki bronchit płuc, połączony z jakże rzadkim okazem raka mięśnia sercowego. Niewątpliwie śmierć Mamy ma swe korzenie w Jej roli podczas okupacji.

Innym razem miał miejsce zamach na Niemca w naszym sąsiedztwie wykonany przez naszego znajomego Jana Czyżewskiego. Niemcy obstawili całą okolicę i przeczesywali dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu. Wpadli do naszego mieszkania. Zastali dwóch grających w karty lekarzy, którym sprawdzili, czy mają jasne płaszcze i świeże błoto na nich. Na szczęście nie odsunęli szafy, za którą w niszy skrył się zamachowiec. Ta atmosfera ustawicznego niebezpieczeństwa niszczyła nerwy Mamie.

Ojciec został przewieziony z Pawiaka do Oświęcimia, gdzie nosił bardzo niski numer rejestracyjny. Przez więźniów z tego okresu wspomniany był jako „apostoł”. Podtrzymywał wszystkich na duchu i zabawiał opowiadaniem o swych licznych przygodach za granicą, z których wiele zapewne było zmyślnych, z uwagi na potrzeby chwili. Brał udział w obozowej konspiracji, na której życzenie podłożył wesz tyfusową znanemu hochsztaplerowi i wtyczce Józefowi Olpińskiemu. Był więźniem politycznym i już za długo, bo prawie 3 lata, przebywał w tym obozie śmierci, gdzie średni czas przeżycia wynosił 3 miesiące. Został wezwany do Pawilonu XI, zwanego pawilonem „śmierci”. W drodze na rozstrzelanie pod osławioną ścianę Tata przeszedł do pokoju, gdzie oficer SS, szef Politische Abteilung KL Auschwitz sprawdził akta i zgodność osoby z ewidencją. Esesman zamknął akta i jakby zakończył życie Ojca. Nagle z akt wyleciało na podłogę moje zdjęcie, blondyna w lokach. Niemiec podniósł je i pomyślał, że to zdjęcie wypadło z jego portfela. Sprawdził swój portfel, zdjęcie jego synka było nadal w portfelu:

— „*Was ist das?*” Kto to? spytał Niemiec.

— „*Das ist mein Sohn*” to mój syn, odparł po niemiecku Ojciec, wyprężony na baczność.

— Niemożliwe! rzekł Niemiec.

— Patrz! wyjął zdjęcie z portfela, „taki sam jak mój syn”.

— Uciekaj! i wskazał mu drzwi na korytarz, ale nie „te” na dziedziniec, gdzie stała „ściana śmierci”. Ojciec wyszedł na korytarz, stanął pod ścianą i czeka. Nie mógł uwierzyć, że to już koniec przesłuchania. Po chwili pojawił się Niemiec i pyta „Co tu robisz?”

„Uciekaj na blok!” Był to chyba jedyny przypadek wyjścia z życiem z tego osławionego Pawilonu. Na bloku więźniowie nie chcieli wierzyć Ojcu co mówił. Myślano, że został szpiegiem. Ponieważ tak nie było, obawiano się, aby wizyta nie powtórzyła się ze znanym skutkiem. Więźniowie pracujący w biurze wpisali latem 1943 r. Tatę na transport do innego obozu Gross-Rosen pod Wrocławiem.

W Gross-Rosen Ojciec nadal był „apostołem”: zaopiekował się niemal miłością ojcowską, 20-letnim Mietkiem Mołdawą, który pracował w biurze i stale nasłuchiwał wiadomości z radia. Musiał mu je przekazywać z kilkudniowym opóźnieniem, gdyż inaczej więźniowie wiedzieliby od razu co się dzieje na wojnie. Gdyby Niemcy wykryli, że więźniowie są tak dobrze poinformowani, szybko by odkryli, że źródłem wiadomości jest Mietek, a to oznaczałoby jego śmierć. W stolarni, przy zachowaniu specjalnych środków ostrożności i pikietowaniu wejścia na zewnątrz, Ojciec odbywał regularne dyskusje o aktualnej sytuacji na frontach, m.in. dyskutowano o przejęciu władzy we Wrocławiu i ustanowieniu polskich władz. W Gross-Rosen Ojciec wraz z więźniami wybudował tzw. suchy mur, bez żadnej zaprawy murarskiej, który stoi do dzisiaj. W Gross-Rosen (Rogoźnica) zginęło ok. 100.000 więźniów. Mama przysyłała tu nadal paczki kilku więźniom, wskazanym przez Ojca. M.in. paczki otrzymywał Jerzy Albrecht, z którym nie miał wspólnego języka. Ojciec był socjaldemokratą, a Albrecht był komunistą. Pierwszy chciał „aby każdy miał swoją łazienkę, a drugi postulował za wspólnymi”. Albrecht sam o tym z żalem mówił nam po powrocie do Warszawy i objęciu wysokich funkcji we władzach PRL. Kiedy Albrecht zaproponował Mietkowi Mołdawie pracę we władzach nowego reżimu, ten odmówił. „Zatruli cię Targowski” odpowiedział zawiedziony I sekretarz PPR na miasto Warszawa.

W 1944 r. Ojciec został przewieziony w strasznych warunkach do obozu Dora-Mittelbau na północny wschód od miasta Nordhausen (filia obozu Buchenwald), gdzie w tunelach pieczary Kohnstein w masywie górskim Hartz produkowano rakiety V-1 i V-2, ostatnią „cudowną” broń Hitlera. Nie było tu wprawdzie komór gazowych, nie mordowano ludzi zastrzykami z fenolu czy gazem „Cyklon-B”. W Dorze mordowano ludzi ciężką niewolniczą pracą, przekraczającą siły katowanego i niedożywionego więźnia. Miliony marek splamionych krwią więźniów obozu Dora płynęło do kas takich koncernów jak Krupp, Heinkel i innych.

Rok 1943 zapisał się w kronikach II wojny światowej m.in. jako okres intensywnych poszukiwań „cudownej broni” przez kierownictwo III Rzeszy. Klęska pod Stalingradem rozwiła mit o niezwyciężonej armii hitlerowskiej. W tej sy-

tuacji tylko nowy typ broni raketowej mógł — zdaniem hitlerowskich ekspertów — zmienić bieg historii. Po wykryciu przez wywiad angielski fabryki i poligonu doświadczalnego rakiet Peenemunde na wyspie Uznam k/Szczecina i zbombardowaniu jej, Hitler osobiście wydał rozkaz przeniesienia produkcji rakiet do innych, lepiej ukrytych miejscowości.

Po inwazji Aliantów w czerwcu 1944 r. tysiące rakiet V-1 i V-2 zostało wystrzelonych na Londyn i Antwerpię. Szykowano rakietę V-3, która miała zaatakować Nowy York. W Dorze istniał silny ruch oporu, który sabotował produkcję owych rakiet. Dzięki temu wiele rakiet albo nie docierało do celu, albo nie wyrządzało oczekiwanej szkody. Z 9.300 rakiet tylko ok. 2.400 dotarło do celu. Reszta wybuchała zaraz po starcie lub nie dolatywała do zamierzonego celu. Anglicy bardzo cierpieli od nalotów zwłaszcza V-2, które były celniejsze i bardziej niszczące. Otóż mój Ojciec, wychowany w ciągłej konspiracji, także w tym obozie, tuż pod koniec wojny, prowadził walkę „o waszą i naszą wolność”.

Niemcy byli świadomi, że wypadki z rakietami, to wynik sabotażu i stąd bezwzględnie mordowali jego uczestników. Ojciec, prócz sabotażu szmuglował do lochów jedzenie dla wygłodzonych kolegów. Został wydany przez Czecha, po przesiedzeniu 10 dni w tzw. bunkrze (bez jedzenia i bez siennika) a następnie powieszony w publicznej egzekucji w dniu 21 marca 1945 r. Tata był bardzo żywotny, na szubienicy umierał długo w agonii. Dopiero „litościwy” Niemiec uderzył go stołkiem w głowę, kończąc jego konanie. Razem z nim zginęły rękopisy, jakie systematycznie gromadził w obozach, z myślą ich późniejszego opublikowania. Pozostała tylko Jego pieśń, którą Aleksander Kulisiewicz śpiewa na płycie *Lieder aus der Holle*. Pieśń tę Tata napisał po niemiecku w Dorze w 1944 r. śpiewaną na melodię „O mój rozmarynie”:

„Ojca rozszarpały w kacie psy,
aby radośniejszy,
aby był wspanialszy
Hitlera «siega»”.

Wiemy, że Ojciec już wiedział, że wyszliśmy żywi z Powstania. Zamiast przeczekać spokojnie do końca wojny, nadal jako więzień trwał w walce przeciw nazizmowi. Kiedy zginął miał 52 lata, z których większość, poczynawszy od „szkolnego mundurka” spędził na działalności i walce niepodległościowej. Cichy i prawdziwy bohater.

Mama działała w Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO) oraz pełniła służbę konspiracyjną w O.W.W. „Wilki”, a następnie AK pod pseudonimem „Juńczyk” (od herbu) albo „Paznokciowa”, od zawsze dobrze utrzymanych paznokci. W Powstaniu Warszawskim brała udział w zgrupowaniu „Milana”, a następnie w Komendzie Placu Warszawa Śródmieście.

W dniu 1 sierpnia 1944 r. poszliśmy z Gienią po kwiaty do ogrodnika przy ul. Malczewskiego. Wracając zauważyliśmy w parku Dreszera grupki młodych ludzi w butach z cholewami (oficerkach) i oczywiście z rękami w kieszeniach. Podczas okupacji takich butów nie wolno było nosić, ani trzymać tak rąk. Wów-

czas owe buty wydały mi się symbolem wolności, o której tyle mówiło się w domu. Jeszcze tego samego dnia położyłem kwiaty na grobie nieznanego żołnierza, który zginął, pewnie jako jeden z pierwszych, tuż zaraz po godzinie 17. Co za nieodpowiednia godzina rozpoczęcia Powstania! Nasi powstańcy, ledwo uzbrojeni, musieli atakować bunkry niemieckie w biały dzień.

Dom nasz znajdował się *vis a vis* niemieckiego bunkra, za którym był duży plac, a za nim, przy rogu ul. Narbutta i ul. Kazimierzowskiej znajdowały się niemieckie koszary. Na południe od naszego domu znajdował się teren we władaniu powstańczego zgrupowania „Baszta”. Z uwagi na graniczne położenie, dom przechodził z rąk do rąk. Raz byli w nim powstańcy (nawet szpitalik), a raz Niemcy, którzy jednak bali się schodzić do piwnicy. W końcu Niemcy zdecydowali się zlikwidować narożny dom wokół swojego bunkra. Pewnego dnia podjechał czołg z Ukraińcami, a może Rosjanami w niemieckich mundurach.

Moja niania Gienia Stępień chwyciła mnie i dziurą między domami (większość warszawskich podwórek i domów miała takie połączenia), przeszliśmy do sąsiedniego domu przy ul. Madalińskiego. Za nami pobięła Mama. Było nas dwadzieścia parę osób stłoczonych w wąskim korytarzu klatki schodowej na parterze. Żołnierze niemieccy podjechali czołgiem do tego domu i otworzyli do nas seryjny ogień z automatów. Padliśmy plackiem, mnie przykryła swoim ciałem Gienia. Mama stała w pierwszym szeregu, została przeszyta salwą z ręcznego karabinu maszynowego. Miała przestrzelone ręce, szyję i odłamek w mięśniu sercowym, w sumie 14 ran. Straciła przytomność. Słyszeliśmy jak żołnierze strzelający rozmawiali po ukraińsku, a może rosyjsku.

Wtedy jakiś mężczyzna z tłumu leżących krzyknął „tu są Rosjanie”. Przerwano strzelanie czyli egzekucję-dobijanie ludzi leżących i ruszających się jeszcze. Padł rozkaz „*Ruski ljudi wyhaditi!*” Mama ocknęła się z zemdlenia — potem mówiła, że ukazała Jej się Matka Boska. Z przestrzelonymi rękami wyciągnęła mnie spod trupa Gieni. Wyszliśmy dwoje, wyszły jeszcze dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Stanęliśmy pod ścianą w przejeździe prowadzącym pod budynkiem z ulicy na podwórko. Dwóch mężczyzn stanęło przy mnie po prawej, a po lewej Mama osunęła się na ziemię, dalej stanęły dwie kobiety. Ukraińiec, a może Rosjanin, wyciągnął jednego mężczyznę i ustawił w prześwicie bramy, po czym rozstrzelał go. Jeszcze widzę biały dymek jaki ulotnił się po strzale i uleciał w górę. Drugiego mężczyznę tuż stojącego przy mnie ten sam Ukraińiec/Rosjanin zabił z bliskiej odległości strzałem z pistoletu, poczem wskazał pistoletem na teczkę, którą trzymałem w ręku, nie zgubiwszy jej o dziwo w tym całym zajściu. Były w niej dokumenty i wartościowe rzeczy. Otworzył ją i uśmiechnął się widocznie zadowolony. Następnie wskazał na Mamę, która rzekła łamanym ukraińskim „mam dziecko”. Na co rzekł Ukraińiec: „*wam z szyji kriow ljotsa*” rzucając jej kawałek szmaty na zatamowanie krwi, z którego przytomnie Mama jednak nie skorzystała. Żołnierz kazał podpalić dom, a w nim zabitych i rannych, a dwóm kobietom i mnie polecił odnieść Mamę na punkt opatrunkowy PCK.

Pomagałem nieść Mamę, podtrzymując jej głowę. Zgubiłem sandaalki, przedzieraliśmy się przez gruzy i tłące belki domu wiodącego do Sióstr Niepokalanek. Sparzyłem się i zapłakałem. Wtedy Mama otworzyła oczy. Na ul. Madalińskiego siedziały tłumy mieszkańców z tobołkami, szykujących się do wymarszu z miasta. Ktoś podskoczył do nas i pomógł nieść Mamę.

Ukraińcy i Rosjanie z rozkoszą mordowali i rabowali Warszawiaków. Nawet Niemcy okazywali im pogardę: z rozkazu dowódcy wojsk niemieckich gen. SS Ericha von dem Bacha-Żelewskiego dowódca wojsk rosyjsko-ukraińskich RO-NA (*Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija*) gen. SS Mieczysław Kamiński został rozstrzelany. Z naszego (tj. Mamy i mojego) punktu widzenia było to niestety po niewczasie. Co za zbieg okoliczności, obaj oprawcy nosili nazwiska na „ski” a Bach-Żelewski znał nawet język polski.

Punkt opatrunkowy PCK znajdował się w klasztorze Sióstr niepokalanek. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, że tam nieśliśmy Mamę. Siostry znały nas bardzo dobrze, mnie z przedszkola (pod świetną opieką siostry Józafaty), natomiast Mamę stąd, że pochodzi z rodziny założycielki Zgromadzenia Matki Marceliny Darowskiej (beatyfikowanej w 1996 r.). Mama od razu zaopiekowano się bardzo troskliwie. Mama nie dawała znaków życia, a ja byłem cały oblany krwią, ranny w nogę. Siostra Maria Wanda (z d. Garczyńska) błyskawicznie poznała się na ciężkich ranach i poleciła odwiedzić Mamę wraz ze mną do szpitala przy ul. Chocimskiej. Było to trudne zadanie, gdyż wokół domu Sióstr byli wszędzie Niemcy. Gdyby nie natychmiastowa pomoc siostry Wandy, Mama na pewno by nie przeżyła. Siostra Wanda i Mama znały się bardzo dobrze, bowiem razem pracowały w konspiracji. W tej samej grupie konspiracyjnej brał jeszcze udział kapelan sióstr ks. Tomasz Roztworowski.

W szpitalu siedziałem albo przy łóżku Mamy albo w pokoju lekarskim, gdzie czytałem książkę o Rzymskich Legionach. Strasznie mnie dziwiło, że tacy dorośli ludzie chodzili w sandałach i spódniczkach. Nikt nie miał czasu, aby to mi wyjaśnić. A ja zagłębiałem się w ten mój dziecięcy świat, jakże daleki od tego, co działo się w najbliższym otoczeniu. Siostry niepokalaneki jakby wiedzione złym przeczuciem, zdołały kogoś przysłać po mnie do szpitala. Wkrótce Niemcy ewakuowali szpital, a niedołężnych i pozostałych dobili. Mama znów ostatnią ciężarówką, z rękami na „lotnikach” i stojąc na błotnikach wyjechała na Okęcie, zachodnie przedmieście stolicy.

Powróciwszy do Sióstr, wraz z nimi (pod opieką siostry Bernardy) na rozkaz Niemców, którzy oznajmili Siostrom, że dom ich ma być spalony, przeszliśmy z ul. Kazimierzowskiej do sierocińca dla dziewcząt, prowadzonego przez siostry miłosierdzia, przy ul. Rakowieckiej (k/dzisiejszej ambasady holenderskiej). Tutaj cały czas leżeliśmy na podłodze, by nie zauważono nas przez okno. Obok, na podwórzu późniejszej szkoły im. Tadeusza Reytana (obecnie urzędu gminy), rozstrzeliwano Polaków. W szkole tej po wojnie zdałem maturę, jednak nikomu nie wspominałem, co widziałem w czasie Powstania na podwórku szkolnym. Po wojnie wszyscy mieli podobne wspomnienia spotkań ze śmiercią. Dzięki stara-

niom p. Wierzbickiego i sutej łapówce udało się Siostram wydostać z dopalającej się Warszawy. Ciężarówką z Niemcem w szoferce jechaliśmy wymarłymi ulicami do Szymanowa, głównej siedziby Sióstr. Na torach Rakowieckiej przy al. Niepodległości, naprzeciw dzisiejszej Głównej Szkoły Handlowej, leżał tramwaj i zwisały zapętlone druty tramwajowe. Ulice były wymarłe, złowroga cisza kłuła nasze uszy.

Po przyjeździe do Szymanowa, wydawało się, że będzie spokojnie. Siostry przygarnęły kilkaset rodzin. Miałem znów kolegów-rówieśników, z którymi biegaliśmy po parku i długich korytarzach dawnego pałacyku ks. Lubomirskich. Ale nastrój odprężenia przerwały chwile trwogi — w okolicy rozgorzała bitwa partyzantów z Niemcami. W ciągu paru dni nie mogliśmy wychodzić z pałacyku. Za to później wpadliśmy w szal zbierania naboju. Te stalowego koloru były najbardziej poszukiwane. Naboje sowieckie dum-dum wyzwały w mojej wyobraźni obraz wielkich podbojów na podobieństwo Legionów Rzymskich.

W Szymanowie było tłoczno, za dużo uciekinierów wciąż chroniło się pod opiekuńcze skrzydła sióstr. Postanowiono, że najmłodsze dzieci wyjadą do Koźła koło Łowicza. Chodziło o to, by odciążyć personalnie Szymanów, który nie mógł pomieścić i wyżywić wciąż napływających ludzi. Chciano również lepiej zaopiekować się dziećmi powstańczej Warszawy.

Wyjechało nas trzynaścioro dzieci pod opieką siostry Marii Eny, nazywano mnie Jędrusiem, „najmłodszym powstańcem warszawskim”. Potem dołączyło do nas jeszcze dziesięcioro dzieci. Warunki były bardzo ciężkie, zdewastowany budynek szkolny, trochę słomy, dwie miednice i trzy nocniki na początku. Stopniowo dzięki życzliwości ludzkiej przybywało niezbędnych rzeczy. Na szczególną uwagę zasługuje p. Piotrowski, bogaty chłop łowicki z Koźła, poseł na Sejm II Rzeczypospolitej i jego młoda i urodziwa żona. Na ich pomoc Siostry zawsze mogły liczyć. Mieli synka w moim wieku, który był zawsze zadbany, czyściutki i najedzony. Bawilem się nieraz z nim, bowiem p. Piotrowscy mieszkali naprzeciw nas. Za to niezwykle troskliwe i dbające o nas, zaradne siostry niepokalanki wypełniały czas nauką, uczeniem religii i wycieczkami po okolicy w kierunku Główna albo Osieki. Długimi spacerami na świeżym powietrzu nasze wspaniałe opiekunki wynagradzały złe wyżywienie. Chodziliśmy w łańkach, które Siostry wieczorem prały, aby przez noc wyschły. Byliśmy dziećmi-sierotami i okoliczni mieszkańcy nieśli nam pomoc. Jedliśmy zwykle cebulę z marmoladą, choć w miarę, jak okoliczni chłopcy zaczęli pomagać, jedzenie uległo poprawie, zwłaszcza w zakresie nabiału. Była bieda franciszkańska, ale i pogoda także. Nie mieliśmy wiele, a nie cierpieliśmy głodu. Było bardzo skromnie, ubogo, nie było do czego się przywiązać, ani nawet w czym wybierać. Żył się z dnia na dzień z wiarą w Opatrzność, która nas nie zawiodła, wolnością dzieci Bożych, wszystkiego oczekujących. Siostry cechował cudowny spokój, opanowanie i wiara w Opatrzność i ludzką dobroć. Usuwało to z nas wszelki lęk o przyszłość, wszelką kombinację, co przyniesie jutro. Będzie to, co Bóg da. I dawał.

W dniu 5 maja 1945 r. wróciliśmy do Szymanowa, koczując jak Cyganie na przypadkowych furmankach (furo-stopem) i pociągami towarowymi. Na szczęście Niemców już nie było i ludzie zaczęli być optymistami oraz bardzo sobie życzliwymi.

W maju 1945 r. Siostry stwierdziły, że lada chwila Sowieci mogą ukrócić życie religijne. Znały to ze swego doświadczenia, kiedy Sowieci zamknęli ich klasztor w Jazłowiec na Podolu, dlatego zorganizowały (opiekunką naszą była szalenie troskliwa siostra Deodata) bardzo uroczyste moją pierwszą komunię św. Przyjąłem komunię św. jako pierwszy i najważniejsza persona w tym dniu, przed wszystkimi Siostrami, nie wyłączając matki przełożonej Assumpty (z d. Sapieha) oraz uciekinierami, wśród nich był kwiat polskiej arystokracji i inteligencji. Potem Siostry urządziły dla mnie i Mamy, która w międzyczasie dojechała do Szymanowa, wykwintne śniadanie: oddzielny pokój, kwiaty i ...biały chleb, biały różaniec na stole.

Jak pisze w swoim pamiętniku siostra Maria Ena „Życie okupacyjne, na zewnątrz prymitywne, proste, odarte z blasku, było pełne, głębokie, dlatego zostawiło niezatarte ślady w psychice ludzkiej. Z jednej strony szalał terror, pleniła się złość, zawiść, nienawiść, z drugiej, ludzie świadczyli sobie tyle wzajemnej miłości, że nie wiadomo, co było silniejsze. Chyba jednak miłość, bo zwyciężyło dobro”.

Wkrótce wyjechałem z Mamą do „wyzwolonej” Warszawy. Nasz dom przy ul. Kazimierzowskiej 55 był spalony, rzeczy zakopane pod węglem w piwnicy, rozszabrowane. W tym położeniu zamieszkaliśmy u cioci Tynusi Tomaszewskiej, jedynej Mamy siostry mieszkającej w Polsce. Ona też ciężko przeszła Powstanie, ukryta w tzw. „bunkrze” z synem Tadeuszem. Wspomnienia opisała i rękopis dała do przejrzenia katolickiemu pisarzowi Janowi Dobraczyńskiemu, który wydał go pod swoim nazwiskiem w książce „W rozwalonym domu”. Prosił o nie rozgłoszenie sprawy, zapłacił odszkodowanie, które wcale cioci nie zadowalało. Była bowiem nauczycielką i miała literackie zdolności i ambicje.

Warszawa w 1945 r. zwłaszcza Śródmieście, a szczególnie ul. Krucza, gdzie w tzw. domu „zawalidrodze”, na rogu al. Jerozolimskich zatrzymaliśmy się u Cioci, była cała w gruzach, jak po wojnie atomowej. Stawałem w kolejce do pompy z wiadrem na wodę, na rogu ul. Nowogrodzkiej i słyszałem opinie, że Warszawa nigdy nie odbuduje się z całkowitego zniszczenia. A jednak odbudowała się. Dzieła zniszczenia naszej stolicy Niemcy dopełnili w ostatnim kwartale 1944 r. Skorzystali z wstrzymania przez Stalina, który dążył do całkowitego zniszczenia polskiego oporu, jesiennej ofensywy w Polsce.

Po zakończeniu wojny Mama zajęła się leczeniem swych ran, była bardzo schorowana i przepelniona bólem. Na próżno czekała na powrót męża. Była bez męża u boku, bez zdrowia i bez środków do życia. Stała nieprzygotowana w oko w oko z nową jakże okrutną rzeczywistością. Wkrótce Mama podjęła pracę w Najwyższej Izbie Kontroli, tzw. NIK-u jako kierowniczka kancelarii, w tym samym gmachu, gdzie byliśmy na widzeniu z Ojcem w siedzibie Gesta-

po. Nie na długo. Ciężkie rany z Powstania zmusiły Ją do pójścia na 3 lata do szpitala. Dzięki chirurgowi dr. Ambrozowi ręk nie amputowano, ale wskutek licznych odłamków kul w ciele, nastąpiło samoistne odwapnienie organizmu z licznymi konsekwencjami (tzw. tężyczka samoistna). Na Mamy chorobowym przypadku dr Askanas zrobił doktorat. W tym czasie ja przebywałem pod opieką rodziny i przyjaciół w różnych miastach Polski. W 1948 r. powróciłem do podleczonej Mamy do Warszawy. Raz nawet wyładowałem w sierocińcu, skąd momentalnie zabrał mnie mój przyrodni brat Staś. Sam ciężko chory na serce nie mógł się mną zająć.

Od cioci Tynusi przeprowadziliśmy się do obszernego mieszkania państwa Bolesława i Krystyny Głodków przy ul. Jaworzyńskiej 8. Pan Bolek w czasie wojny walczył w Batalionach Chłopskich. Po wojnie był pułkownikiem w Ludowym Wojsku Polskim, ale bardzo szybko zorientował się, że może w nim zostać zamordowany (pomimo pokoju), dlatego wystąpił ze służby. Na wszelki wypadek skończył prawo, zostając wkrótce bardzo wziętym adwokatem. Dom państwa Głodków, aż do śmierci gospodarzy w latach 1980., był bardzo gościnny. Mieszkanie ich było jakby wyspą „reakcji” w budynku, w którym zamieszkiwała generalicja sowiecko-polska.

Stalinizm 1944-1956

Lata 1945-1956, to jakby lata wojny domowej (1944-1948) i lata strachu nasycone wieściami o aresztowaniach, torturach w więzieniach i egzekucjach, będących obelgami dla polskich bojowców. Za posiadanie dolarów groziła wówczas kara śmierci. W latach stalinowskiego terroru aresztowano ok. 250.000 więźniów politycznych. Oficjalnie ogłaszane wyroki stanowiły tylko nikły ułamek rzeczywiście wykonywanych: oblicza się, że zamordowano w więzieniach, w tych latach ok. 15.000 osób. W kraju panował strach.

Ciocia Tutka Jasińska i jej mąż Julek, lotnik z Zachodu, tak bardzo bali się, że spalili na podłodze, aby nie było ich „widać”, a każdy szum wody w rurach, czy w klozecie uważali, że to „oni” ich podsłuchują. Oczywiście była to pewnego rodzaju psychiczna dolegliwość, z której to podśmiewaliśmy się w rodzinie. Ludzie panicznie bali się prześladowań, zwłaszcza ci co powrócili z Zachodu albo ci, co mieli dolary. U Jasińskich owe dwie sprawy wchodziły w grę.

W tym przeraźliwym lęku życie prywatne ludzi miało dwa oblicza, jedno bierne na zewnątrz, a drugie — czynne wewnątrz. Owe czynne oblicze polegało na rozwiniętym życiu towarzyskim: uroczystym, a także hucznym obchodzeniu imienin i rocznic, a także popularnym graniu w brydża, wzajemnej pomocy, analizowaniu sytuacji na świecie, no i nasłuchiowaniu radia. Najpierw słuchano Radia Londyńskiego ze znanym sygnałem „BUM BUM BUM BUM” „Tu mówi Londyn, nadajemy wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe”, a potem od 1952 r. tego z Monachium: „Tu mówi Radio Wolna Europa”. Ponieważ audycje były zagłuszane, nadawano je na wielu falach i w różnych godzi-

nach powtarzano, aby zmylić system zagłuszania, dlatego Mama pozaznaczała atramentem wszystkie te fale na skali radia, aby było łatwiej je odnaleźć. Kto spojrział na nasze radio wnet wiedział o co chodzi. W radiu zachodnim była nadzieja, z nią łatwiej było żyć. Gorzej, gdyby jej nie było.

W międzyczasie Mama przejęła mieszkanie po kuzynach w al. Szucha 7. Ponieważ dom ten szykowano dla sowieckich dyplomatów, zostaliśmy przeniesieni do budynku przy tej samej ulicy pod numerem 3. Mieszkanie było na 4 piętrze, miało 3 pokoje z kuchnią o powierzchni ponad 100 m kw. i oczywiście, jak na ówczesne normy mieszkaniowe przewidujące po 7 m kw. na osobę, było za duże dla nas dwojga.

Najpierw przygarnęliśmy ciocię Zosię i jej córeczkę Dzięnię von Pankratz (ze strony rodziny Ojca), które były bez środków do życia. Ich mąż i ojciec — Wilhelm, kapitan, lotnik, inżynier, walcząc w dywizjonie angielskim RAF nr 145 po ciężkiej bitwie z *Messerschmittem ME-109* spadł w dniu 12 sierpnia 1940 r. do Kanału La Manche w samolocie *Hurricane* nr R 4176, w sławnej „Bitwie o Anglię”. Wuj Wilhelm zginął za Anglię, więc PRL nie chciał za to przyznać renty. Nasze kuzynki były wówczas bez środków do życia, a i potem nie było im łatwo. Natomiast Anglicy zrewanżowali się pozostawionej wdowie i sierocie wmurowaniem pamiątkowej tablicy w kościele Św. Klemensa Duńskiego w Londynie. Niestety żadnej innej rekompensaty moje kuzynki nie otrzymały. Wuj Wilhelm został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Walecznych (rozkaz nr 14/40).

Po pokonaniu Zachodniej Kontynentalnej Europy w czerwcu 1940 r., Niemcy powzięły decyzję zajęcia Wielkiej Brytanii. Planowane wylądowanie 90.000 niemieckich żołnierzy na Wyspie poprzedziły naloty Luftwaffe na brytyjskie porty i bazy wojskowe. Brytyjczycy do wojny byli nie przygotowani. W „Bitwie o Wielką Brytanię” od czerwca do października 1940 r. wzięło udział 144 polskich pilotów w dywizjonach 302, 303 i RAF-u na ogólną początkową liczbę 704 pełnych i przeszkolonych załóg brytyjskich, kanadyjskich, czeskich, belgijskich i południowo-afrykańskich. Przeciwnik na początku Bitwy dysponował około 1000 pełnosprawnych załóg. Zasadnicza Bitwa została rozstrzygnięta między 8 i 13 sierpnia, chociaż jeszcze trwała aż do połowy września. Wuj Wilhelm zginął 12 sierpnia, w najgorętszym okresie Bitwy, na południe od wyspy Wight. W dniu 12 sierpnia bombowce *Stukasy*, *Ju-88* i *Heinkle* pod osłoną *Me-109* miały za zadanie zniszczenie stacji radarowych u ujścia Tamizy. Tego dnia zginęło 31 niemieckich maszyn i 22 maszyny alianckie, w tym i maszyna wuja Wilhelma. Jego *Hurricane* był słabszym samolotem od *Me-109*. Wyspa jednak została obroniona. W sumie, w całej Bitwie o Wielką Brytanię poległo 449 pilotów, w tym 29 polskich, a w tej liczbie wuj Wilhelm ojciec Dziędi. Premier Churchill potem powiedział „nigdy w historii ludzkiej tak wielu nie zawdzięczało tak niewielu”.

Ciągnąc historię o lotnikach w mojej rodzinie muszę wymienić następną ofiarę wojny. Mąż cioci Jadzi (siostry cioci Zosi Pankratz) — Piotr Kamiński był też kapitanem, lotnikiem, inżynierem, ale zginął w czasie Powstania Warszaw-

skiego (18 sierpnia) od odstrzału moździerzowego przy ul. Kazimierzowskiej. Zginął śmiercią nie lotnika ten jeden z najwybitniejszych lotników polskich. Był jedynym lotnikiem w kraju, który posiadał międzynarodową licencję na wszystkie rodzaje „ciał latających”: sterowce (balony), hydroplany, samoloty i szybowce. Z tego względu był od 1934 r. z-cą komendanta (na etacie pułkownika) Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie. Całe życie spędził na frontach: w czasie I Wojny Światowej walczył w armii carskiej przeciw Turkom, po Rewolucji 1917 r. przedarł się do Polski i w 1920 r. był już dowódcą III Baonu Aeronautycznego w dywizji gen. Lucjana Żeligowskiego. W II Wojnie Światowej walczył w armii „Polesie” w oddziale łącznikowym. Po kapitulacji Warszawy, został zestrzelony pod Otwockiem w dniu 2 października 1939 r. i jako ranny jeńiec przebywał w szpitalu Wehrmachtu. Został z niego zwolniony z 80 proc. utratą zdrowia. Od samego początku okupacji pracował z gen. Michałem Tokarzewskim-Karaszewiczem w konspiracji. W Sztabie Głównym AK był doradcą ds. lotniczych. W czasie Powstania walczył pod pseudonimem „Lotnik” w pułku AK „Baszta” na Mokotowie. Jego synowie Bogdan i Ryszard budowali po wojnie (w willi przy ul. Płatowcowej na Mokotowie) piękne modele wojskowych samochodów... amerykańskich. Najbardziej robiły na mnie wrażenie owe sławne *jeepy*, ale były tak ładne, że nie dali mi ani jednego.

Gdy kuzynki Pankratz wyprowadziły się, do jednego pokoju przysparaliśmy koleżankę Mamy z Kijowa — Zofię Sokołowską, więźniarkę obozu koncentracyjnego Ravensbrück (gdzie prowadzono zbrodnicze eksperymenty medyczne na więźniarkach, tzw. „króliczkach”), której brat mjr Sokołowski został skazany na śmierć i zgładzony w procesie przywódców WiN (Zrzeszenie Wolność i Niepodległość). Organizacja ta, zorganizowana w 1945 r. przez płk. Jana Rzepeckiego, skupiała byłych AK-owców, stawiała sobie za zadanie wpłynięcia na wyniki oczekiwanych wyborów. AK-owcy, a zwłaszcza nierozbrojone siły zbrojne NSZ (Narodowe Siły Zbrojne) przekładali walkę zbrojną nad polityczną, stąd też, aż do lata 1946 r. trwała regularna wojna domowa na Białostocczyźnie, w Lubelskim, na Podkarpaciu i północnym Mazowszu. Zginęło w niej po obu stronach po kilkanaście tysięcy ludzi. Dlatego też wyroki w procesie przywódców WiN-u były tak srogie.

W drugim pokoju zamieszkały Mamy powinowate, panie Bobrowskie, matka z córką. Ich bliskim kuzynem był prof. Cz. Bobrowski, ówczesny prezes Głównego Urzędu Planowania, który jednak unikał swych kuzynek (a może było odwrotnie). Natomiast w dość bliskich z nim i nami stosunkach żył Marian Wroński, brat starszej Bobrowskiej, pierwszy po wojnie dyrektor YMCA przy ul. Konopnickiej 6.

Tak się składało, że Mamy inny kuzyn — Zieleniewski sprowadził przed wojną YMCA do Polski. Dzięki Wrońskiemu stałem się czynnym członkiem „IMKI”, potocznie zwanej „IMCIA”. W okresie stalinizmu było to jedyne miejsce naszego styku z Zachodem, uczestniczenie w jej programach szalenie podnosiło nasze morale. Była to świetna placówka dla młodzieży i bardzo wiele

w niej się nauczyłem, a także bardzo mile spędzałem czas, grając w ping-ponga, modelując samoloty, na pływalni czy na kajakach na przystani przy końcu Wału Miedzeszyńskiego. Świetne były obozy letnie „IMKI”, z charakterystycznymi chatkami, olimpiadami i śpiewami oraz opowieściami przy ognisku. Dzisiaj w Ameryce jestem nadal członkiem YMCA, gdzie gram w tenisa. Moi tutejsi partnerzy nie zdają sobie sprawy, że z tą wyśmienitą, jakże użyteczną organizacją mam do czynienia od pół wieku i to ja emigrant z Polski, kraju zza b. Żelaznej Kurtyny.

Po kilku latach Wroński został oczywiście aresztowany, a IMKĘ przekształcono w Dom Młodzieży, w którym najważniejszym zajęciem była indoktrynacja. Do niego już nie chodziłem, choć gmach nadal cieszył się powodzeniem warszawiaków, w którego prawym skrzydle mieścił się teatr satyryczny „Buffo”. Lubiliśmy satyrę, bowiem była dwuznaczna i bardzo czytelna dla znających kod nowo-mowy. Nowo-mowa posługiwała się powszechnie znanymi terminami, które w praktyce oznaczały co innego, np. demokracja ludowa oznaczała w praktyce brak demokracji, itd. Kiedy z Londynu przybyła w latach 1960. i zatańczyła dla Polaków Loda Halama, swoimi pięknymi długimi nogami w czarnych, po pas pończochach, warszawiacy szaleli, zwłaszcza moja Mama, która знаła ją osobiście i jej pierwszego męża Bielskiego.

W domu IMKI mieszkał wówczas znany pisarz Leopold Tyrmand, który w tym czasie pisał swe sławne dzieło „Dziennik 1954”. Jest to jeden wielki paszkwil na ówczesnie panujące stosunki w Polsce. Gdyby właściciele tego młodzieżowego i socjalistycznego hoteliku wiedzieli, co pisze Tyrmand, nie tylko by go wyrzucili na bruk, ale pewnie i zadbali, aby go aresztowano. Tymczasem Tyrmand z nich kpił i to w sposób znakomity. Właśnie Tyrmand zorganizował w „Buffo” pierwszy w Polsce koncert jazzowy, na którym zaśpiewała przybyła z Anglii Jean Johnson-Schile, oczywiście śpiewała świetnie po angielsku, języku legendzie, zupełnie nie słyszanym wówczas w PRL-u. Pani Johnson przyjechała dlatego wtedy do Polski, bowiem wyszła za mąż za b. pilota RAF-u Tadeusza Schile, syna producenta nart w Zakopanym i bratanka wielkiego warszawskiego producenta piwa w firmie „Haberbusz i Schile”. Niestety wspomnienia wojenne i czarna rzeczywistość PRL-u doprowadziła do rozpaczyny Tadeusza, który rozpił się i rozstał z angielską piosenkarką. Wracając do Tyrmanda i jego zamiłowania do jazzu, pomimo braku słuchu, muzycy ofiarowali mu klarnet i nuty napisane w systemie numerków, aby mógł sobie grać ulubiony temat *Sweet Georgia Brown*.

Nasze życie skupiało się wokół osób z byłej konspiracji, byłych więźniów obozów, którzy siedzieli z Ojcem, rodziny, mojej szkoły i mojego sportu. Przede wszystkim jednak sprawą dnia było zapewnienie warunków materialnych, co nie było łatwe.

Wokół panoszył się morderczy stalinizm, który wymuszał posłuszeństwo terrorem i bezprawiem. Zaczął się rabunek majątku polskiego, tym razem przez Rosjan, którzy od wieków grabili nasz kraj. My Polacy, którzy byliśmy sojusz-

nikami państw Zachodu, teraz nie mogliśmy się z nimi identyfikować. Między nami a Zachodem zapadła Żelazna Kurtyna. Staliśmy się satelickim państwem imperium sowieckiego na bez mała pół wieku. Spadliśmy jakby z deszczu pod rynnę.

Nowe, sowiecko-polskie władze kraju skupiły energię społeczeństwa na odbudowie kraju, w tym Ziemi Zachodnich, a zwłaszcza stolicy. Społeczeństwo przystąpiło do leczenia ran powojennych. Walcząc z nielegalną opozycją władza potrafiła uzyskiwać pewnego rodzaju oddźwięk w społeczeństwie. Zwycięstwo nad nazizmem Sowietów przypisywali tylko sobie. Środowisko twórcze, tj. artyści, pisarze, uczeni szybko przeszli na stronę reżimu, chwając go w wierszach, książkach, sztukach i filmach. Musieli z czegoś żyć, a reżim to życie im znacznie ułatwiał. Zażądano ujawnienia się wszystkich AK-owców. Ci co się ujawnili w liczbie 55 tys. trafili do więzień, z tego ok. 21 tys. zostało zesłanych do Sowietów. Wyższych oficerów wymordowano na miejscu w Polsce w drodze sfingowanych wyroków sądowych lub skrytobójczo.

Nic dziwnego, że Mama nie ujawniła się. Otrzymała rentę wdowią po mężu w śmiesznej wysokości 182 zł na miesiąc. Kiedy po 1956 r. ujawniła się, zmieniła rentę wdowią na swoją rentę inwalidzką 2. stopnia (85 proc. inwalidztwa), ale za karę, że nie ujawniła się w porę i ta renta była śmiesznie niska, bowiem była wyższa od starej tylko o 100 zł. Była to renta z tzw. „starego portfela”. Dopiero w 30 lat po wojnie w 1974 r. Mama żołnierz tej wojny uzyskała należną jej rentę w wysokości 2.500 zł, stąd też warunki nasze były opłakane. Na szczęście mieliśmy pomoc z Ameryki. Mama prowadziła drobne interesy, a ja udzielałem korepetycji. Był to okres, że chodziłem na obiady do Sióstr Niepokalanek przy ul. Idzikowskiego. Klasztor znajdował się między rezydencją prywatną amerykańskiego ambasadora a obecną willą gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Życie wtedy w zasadzie nie było drogie. Mieszkanie prawie było za darmo, dary z UNRY, tzw. ciuchy z Ameryki też nic nie kosztowały albo niewiele, samochodu nie mieliśmy, zresztą mało kto go posiadał wtedy, jeździło się tanimi tramwajami i pociągami, kolonie i obozy letnie były zwykle dotowane. Żył się niemal tzw. „psim swędem”.

Wśród tej ponurej rzeczywistości „socjalistycznej” utrzymywały się rzecz można „wysepki czarnej reakcji”. Stanowiły ją resztki ziemiaństwa „bez ziemi”, które wkrótce przekształciło się w tzw. inteligencję pracującą. Takie oświadczenie wpisywało się wówczas do dokumentów i ankiet personalnych na pytanie o pochodzenie społeczne. Był to ciąg dalszy polskiej świadomości, nie chcieliśmy identyfikować się z ludową demokracją, a ta demokracja z nami, traktowała nas z pozycji siły, zresztą nie po raz pierwszy w historii Polski. Był to niejako „sarmatyzm odwrócony”, który jest jak ten pies, co obsikuje swój teren, odgraniczał swój obszar własności. W tym ostatnim słowie nie ma żadnej przesady, odtąd rewolucja proletariacka stworzyła tzw. własność grupową to wraz z nią narodził się tzw. „właściciele PRL”.

Rubryka o pochodzeniu społecznym w ankiecie personalnej wówczas decydowała o przyjęciu do szkoły średniej, na uniwersytet czy do pracy. Enigmatyczne pochodzenie z „inteligencji pracującej” dawało pewną szansę na przetrwanie. To był swoisty podział społeczeństwa w Europie Wschodniej. Na Zachodzie, kryterium przynależności do danej warstwy społecznej był i jest stan majątkowy, czyli klasa niższa, średnia i wyższa. Podział ten zresztą wynika z dość przyziemnego powodu. Mianowicie jest odzwierciedleniem systemu podatkowego. Oczywiście po wojnie wszyscy raczej byliśmy biedni i ten podział miałby w zasadzie jedną kategorię. To byłoby jednak za mało dla komunistów, którzy chcieli wiedzieć więcej, aby decyzją kapturową przy biurku zadecydować o twoim losie.

W domu u babci (ciotecznej) Adeli Suchowieckiej widywałem jednego z dowódców AK, szefa Biura Informacji i Propagandy (tzw. BiP-u), płk. Jana Rzepeckiego, późniejszego prezesa WiN. Był jeńcem w Woldenbergu, skąd wrócił do kraju, aby zostać aresztowanym i skazanym na śmierć (na szczęście wyrok nie został wykonany). Ten mądry i dalekowzroczny pułkownik był ożeniony z dr Pronaszkową — rentgenologiem, która przyjaźniła się z ciocią Helusią Suchowiecką, córką babci, również rentgenologiem. Płk Rzepecki zwolniony po amnestii pracował w Wojskowym Instytucie Historycznym, jako osoba cywilna. Czułem do niego tak wielki respekt i otaczający go nimb, że nie śmiałem go pytać o sprawy Powstania, aby go nie urazić moją krytyczną oceną typu „po co ono było?”

W okresie stalinowskim mieliśmy do czynienia ze specyficzną miksturą strachu i terroru oraz poczucia bezsilności z autentycznym entuzjazmem ludzi wciąganych w orbitę władzy. Patrioci typu Rzepeckiego mogli pracować tylko na obrzeżach państwowych placówek, gdzie byli pod ścisłą obserwacją, a wraz z nimi ich otoczenie.

W domu przyjaciółki Mamy z Kijowa, Ireny Michowskiej ciągle analizowało się zamordowanie jej męża lotnika ppłk. Stanisława Michowskiego, przez kapturowy sąd nad wyższymi oficerami, którzy powrócili z Londynu i rzekomo szpiegowali na rzecz Anglików. Córka, Danką (obecnie Kuleżyńska) szalenie atrakcyjna dziewczyna, była sympatią kolegi ojca, mjr. Stanisława Skalskiego, asa polskiego lotnictwa w Bitwie o Anglię (22 zestrzelenia), również skazanego na śmierć, ale na którym wyroku nie wykonano. Z obu tych względów często przesiadywał on w domu Michowskich.

Pułkownik Michowski był oskarżony w procesie tzw. grupy kierownictwa konspiracji Wojsk Lotniczych w tajnej rozprawie w dniu 8 maja 1952 r. bez udziału obrony. Z uwagi na całkowite sfalszowanie dowodów i zastosowanie niezwykle sadystycznych tortur, był to najbardziej tragiczny proces ze wszystkich, jakie wtedy miały miejsce. W małej sali przylegającej do sali sądowej, rozprawie przyglądali się trzej generałowie, dowódca Lotnictwa Jan Turkiel, szef GZP WP Marian Naszkowski i jego zastępca Mieczysław Melens. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski i w dniu 7 sierpnia 1952 r.

skazani na śmierć oficerowie zostali rozstrzelani w lochach więzienia mokotowskiego. W 1955 r. po zbadaniu sprawy Bierut, Zawadzki, Ochab i Rokossowski zdawali sobie sprawę z sądowego morderstwa. Jednak polityka stała nad prawem. Zamordowanych nie zrehabilitowano i kazano dalej szukać „spisków” w wojsku. Wkrótce rozpoczął się proces „marynarzy”. Dopiero po 1956 r. pana Stanisława, ojca trojga dzieci i męża żony, która 35 lat temu przeżyła Rewolucję Bolszewicką, zrehabilitowano. Po śmierci męża wdowa z rentą 800 zł (niższa od najniższej wówczas pensji) bardzo borykała się z życiem, kiedy synowie Marek i Andrzej studiowali.

W latach stalinizmu oficerów dzielono na „dobrych”, „obcych” i „wrogich”. Do „dobrych” zaliczano synów robotników, rzemieślników (lub czeladników) i chłopów małorolnych. Do „obcych”, tzw. liszeńców zaliczano m.in. synów urzędników i inteligencji, do „wrogich” zaliczano m.in. synów kupców, przedstawicieli wolnych zawodów, no i oczywiście oficerów przedwojennych oraz powracających z Zachodu. W ciągu 10 lat (1945-1955) z wojska zwolniono 10.000 „obcych” i aresztowano prawie drugie tyle „wrogich”, co stanowiło ok. 35 proc. stanu kadry oficerskiej. Innymi słowy, co trzeci oficer albo był zwolniony albo aresztowany. W 1952 r. kadra oficerska i podoficerska w Ludowym Wojsku Polskim była naszpikowana agentami i donosicielami, było ich około 23.000, czyli co 4. oficer czy podoficer był kapusiem na kolegów. Kontrwywiad wojskowy, tzw. Informacja średnio „rozpracowywała” 5,5 tys. oficerów służby czynnej i miała na swej liście dalszych 18 tys. osób do „rozpracowania”. Nie łatwo było wtedy służyć w LWP i nic dziwnego, że pułkownik Michowski nie miał szans. Był bardziej bezpieczny w walkach powietrznych z Niemcami niż wśród swoich Rodaków wojskowych, w Ojczyźnie po wojnie. W miejsce zwalnianych i prześladowanych awansowano na przyspieszonych kursach nowych oficerów w myśl zasady „nie matura a chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”.

U mojego ojca chrzestnego, płk. Lubosława Krzeszowskiego, „Ludwika” dowódcy AK w walkach z Niemcami w Wilnie (z-cy gen. „Wilka” Aleksandra Krzyżanowskiego, dowódcy Okręgu Wileńskiego AK) odbywały się zebrania towarzyskie byłych AK-owców. Często Mama, a ja z nią, braliśmy w nich udział. Nie było w nich nic ze spiskowania, ot wszyscy cieszyli się, że przeżyli gehennę. Zebrania te miały miejsce w domu przy ul. Emilii Plater, sąsiadującym z lecznicą dla członków komunistycznego rządu. W czasie bardzo podniosłego, pełnego AK-owców pogrzebu Lubka w kwaterze AK na cmentarzu wojskowym na Powązkach, wojsko przysłało wartę honorową. Żołnierze ustawili się w rogach odkrytego jeszcze grobu i szykowali się do oddania salwy. Podszedł ksiądz i pokroził trumnę, wtedy oficer wydał rozkaz żołnierzom wycofania się z obrzędu.

Rodzina „Lubka” była wielce zasłużona dla Polski. Dziad jego Mikołaj Krzeszowski był podporucznikiem WP podczas Powstania w 1830 r., następnie brał udział w powstaniu węgierskim pod dowództwem gen. Bema. Ojciec „Ludwika”, Mieczysław był pułkownikiem b. armii rosyjskiej, poległ w 1914 r. w armii

gen. Samsonowa w Prusach Wschodnich. Starszy brat, Czesław, porucznik WP został rozstrzelany w 1939 r. po wkroczeniu Niemców na Pomorze. W 1940 r. hitlerowcy rozstrzelali w Warszawie siostrę Ludomirę, oskarżoną o działalność konspiracyjną. W dniu 1 stycznia 1944 r. poległ pod Pecyną w pow. wyszkowskim w walce z Niemcami, jedyny syn Lech (ps. „Luśnia”), podchorąży AK. W czasie Powstania Warszawskiego poległ na Stawkach przy karabinie maszynowym młodszy brat, Wiesław. Poległa także w Powstaniu pełniąc służbę w łączności bojowej, jego pierwsza żona — Zofia. „Ludwik” przeszedł wszystkie stopnie kariery artylerzysty, począwszy od dowódcy plutonu w V Dywizji Syberyjskiej w 1917 r. do wykładowcy teorii i taktyki artyleryjskiej w Szkole Artylerii w Toruniu. Nie przeszedł granicy rumuńskiej. Organizuje wraz z moim Ojcem Organizację Wojskową „Wilki” (OWW), której od maja 1940 r. zostaje szefem sztabu Komendy Głównej. W 1941 r. OWW łączy się z organizacją niepodległościową „Unia” i jej szefem sztabu zostaje Krzeszowski. Później po porozumieniu z gen. „Grotem” przyłącza organizację do Armii Krajowej. W sierpniu zostaje awansowany na podpułkownika i mianowany z-cą komendanta Samodzielnego Okręgu Wileńskiego AK. W 1944 r. zostaje mianowany pułkownikiem i komendantem Okręgu Wileńskiego AK i zastępcą komendanta Obszaru. Bierze udział w bitwie o Wilno w dniach 7-10 lipca 1944 r. Dowodzi wtedy batalionami AK na terenie samego miasta. W Ludowym Wojsku Polskim zostaje wykładowcą artylerii w różnych szkołach oficerskich. Zostaje odsunięty na boczny tor, co wyraża się w wykładaniu na Studium Wojskowym Politechniki Warszawskiej (1954-58). Dziwnym zbiegiem okoliczności słuchałem wtedy jako student jego wykładów. Lubek oświadczył się Mamie zaraz po wojnie, ale Mama oświadczyń nie przyjęła, ponieważ wciąż liczyła na powrót Ojca.

Moją chrzestną matką była Kama Sommer, córka inż. chemika Karola Sommera. Do jego mieszkania, najpierw przy ul. Hożej, a potem w wili na skarpie poniżej ul. Wybieg (poniżej ul. Willowej na Mokotowie), przychodziliśmy z Mamą, by dowiedzieć się co słyhać z niezagłuszanego radia zachodnio-niemieckiego w języku niemieckim. Pan Karol całymi dniami wsłuchiwał się w to radio, był bliskim przyjacielem prezydenta Ignacego Mościckiego, ponadto od lat 30. (w tym w okresie okupacji) był nieprzerwanie przedstawicielem szwajcarskiej firmy farmaceutycznej SANDOZ. Mój Ojciec był bardzo pomocny w uzyskaniu tego przedstawicielstwa dla pana Karola, stąd ta późniejsza jakże trwała przyjaźń naszych rodzin. W jego domu spotykałem dr. Rajmunda Barańskiego, pediatrę, bezpartyjnego ministra zdrowia po 1956 r. oraz rektora Akademii Medycznej prof. Franciszka Czubalskiego. Ten ostatni *nota bene* był kuzynem patrona mojej szkoły Wojciecha Górskiego. Syn pana Karola, Stanisław jest do dzisiaj przedstawicielem SANDOZA w Polsce. W czasie Powstania wykonał wiele świetnych zdjęć, które zdobią każdy album o Powstaniu.

Na co dzień zajmowanie się polityką było dla ludzi z mojego środowiska ograniczone do komentowania wiadomości radiowych z Zachodu. To, co działo się w kraju podlegało jednej totalnej krytyce i nikt długo nad tym się nie rozwo-

dził. Raczej krytykowano biurokrację i lawinę krępujących przepisów, które zresztą na ogół staraliśmy się skutecznie omijać i wzajemnie pouczać w tym względzie. Oficjalne życie obywatela sprowadzało się do biernego uczestnictwa w narzuconych z góry i coraz bardziej traktowanych ironicznie: obrzędach, zebraniach, akademiach, pochodach, oddawaniu kartki do głosowania itp. Obrzędy te stanowiły swego rodzaju element życia towarzyskiego. Na początku udział w nich, szczególnie dla starszego pokolenia, przynosił w wielu wypadkach poczucie wstydu i bezradności. Później do tego się przyzwyczajono.

W domu mojego wuja dr. med. Wacława Chrzanowskiego, który mieszkał przy ul. Klonowej róg al. Róż, Mama i ja graliśmy często w brydża. Raz, gdy wuj rozgrywał szlemika, wyszedłem na trzeciej ręce spod drugiej damy, która wzięła. Było to zagranie nieprawidłowe, ale jedyne by położyć przeciwnika, wuja trafiła niemal apopleksja, był przez to bez jednej. „Jak mogłeś tak zagrać”! Gdy i wuja aresztowano, wszystkie wartościowe rzeczy jego druga żona Halina oddała na przechowanie do naszego mieszkania. U wuja spotykało się wielu jego przyjaciół jeszcze z przedwojennej „Warszawki”.

Przyjaźniłem się z jego córką Basią, która mieszkała u swojej mamy, również Haliny, pierwszej żony wuja, która była naczelnikiem Wydziału Traktatów w MSZ. Drugim jej mężem był Aleksander Żaruk-Michalski, członek KC i ambasador w różnych międzynarodowych komisjach w Indochinach. Mieszkali w pięknym mieszkaniu przy ul. Litewskiej, często tam bywałem no i siłą rzeczy widywałem pana Żaruka-Michalskiego. Był to człowiek kulturalny, skupiony i szalenie mało mówny. Dla mnie wyglądał na „dygnitarza”, bo takim był w tamtych czasach prawie każdy członek KC. Rzeczą charakterystyczną było to, że zauważało się jak ówczesni „dygnitarze” byli szalenie wyobcowani ze swojego środowiska, nawet tego najbliższego. Kiedy spotykali kogoś „niepewnego”, jakim ja z pewnością byłem, nie mieli nic do powiedzenia, bali się rozmowy, by z czymś nieopatrznie nie zdradzić się i nie mieć z tego powodu później politycznych przykrości. Rozmowa moja z nim sprowadzała się do wymiany kilku banałów.

U nas w domu grano w brydża bardzo często, nieraz aż do rana. Kiedy Mama szykowała coś do jedzenia zastępowałem Ją w grze, stąd umiałem grać wcale nieźle. Często partnerką była m.in. nasza sąsiadka pani Krystyna Jasieńska z domu hr. Łęska. Jej mężem był Jerzy Jasieński, pianista i prawnik, który przez niemal cały PRL był albo dyrektorem Departamentu Teatrów albo Muzyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki (fachowiec). Po wyjściu z Ministerstwa dyktował w Teatrze Polskim, Teatrze Wielkim, a potem w Wydawnictwach Muzycznych. Od niego regularnie dostawaliśmy darmowe bilety do teatrów, stąd mogę powiedzieć, że jako młody człowiek, byłem dość dobrze zaznajomiony z naszymi świetnymi teatrami. Do teatru chodziliśmy bardzo systematycznie, polubiłem teatr i naszych jakże znakomitych aktorów. Teatr miał w PRL wcale nieźle warunki, graniczące z rozrzutnością, czego dowodem jest, że w owym czasie Polska miała najwięcej na świecie, bo aż 5,6 tysiąca sal widowiskowych: włączając

w to sale kinowe i wiejskie świetlice, tzw. „czerwone kąciaki”. W PRL było 2,4 tys. zespołów teatralnych amatorskich i zawodowych, czyli na jeden zespół przypadają 2 sale. Repertuar nie zawierał najświeższych sztuk autorów zachodnich i polskich (były trudności cenzuralne w graniu polskich sztuk współczesnych), za to grano klasyczne polskie sztuki: Mickiewicza (łącznie z „Dziadami”), Słowackiego (łącznie z „Kordianem”), Krasińskiego (łącznie z „Nieboską Komedią”), Żeromskiego („Grzech”, „Róża”, „Uciekła mi przepióreczka”), a nawet Andrzejewskiego („Ciemności kryją ziemię”), itd. Było to m.in. zasługą takich działaczy kultury jak Jerzy Jasiński, Wilam Horzyca i inni, którzy wówczas „walczyli” o teatr. W owym czasie, o wszystko co racjonalne i patriotyczne trzeba było „walczyć” lub „zdobywać”. Oczywiście przeciwnikiem w tej walce był system dyktatury komunistycznej i jej prominenci, działający w zawodowym aparacie partyjnym.

W 1953 r. odbyło się 152 tys. przedstawień „brygad artystyczno-agitacyjnych” w świetlicach wiejskich, oglądanych przez 19 mln widzów. Kultura była subsydiowana przez państwo, które z każdej naszej pensji odejmowało kwoty na pokrycie jej kosztów, sterując potem tą dziedziną wbrew interesom odbiorców-podatkowników. Ten sposób popierania kultury nie miał oczywiście nic wspólnego z modelem kultury Zachodu. W PRL substytutem kultury stała się wkrótce masowa rozrywka i piosenki typu „Tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno”, które śpiewano w owych 5,6 tysiącach sal widowiskowych, zbudowanych wyłącznie w celu propagandowym.

Darmowe bilety miałem nawet na koncerty Konkursu Chopinowskiego, którego pan Jerzy był sekretarzem, z racji czego gościł i oprowadzał bywałą na tych koncertach Królową Belgijską Elżbietę, wielką miłośniczkę muzyki Chopina starszszą, podtrzymując ją pod rękę. W 1997 r. Jerzy Jasiński, zebrawszy olbrzymi materiał, wydał bardzo wartościową książkę o Ignacym Paderewskim, o tym niedocenionym przez nas współczesnych, wielkim polityku-patriocie i wspaniałym pianiście. Z państwa Jasińskich dziećmi Ika, jej mężem Wojtkiem Żurowskim (chirurgiem) oraz Andrzejem (projektantem systemów obrony USA) i Elżbietą, jego żoną Joanną (Betti) z d. Perkowicz (stanową specjalistką ds. nielegalnych imigrantów w Kalifornii), stanowimy jakby jedną wirtualną (z uwagi na odległości, połączoną elektroniczną pocztą i częstymi wizytami) rodzinę tu w Ameryce Północnej. Przyjaźń 50-letnia jest dożgonna i nader cenna w podeszłym wieku.

Znajomość z Jasińskimi zaczęła się od korzystania przez Mamę z telefonu u sąsiadów. W całej kamienicy były wówczas tylko dwa telefony, jeden u Jasińskich, na naszym czwartym piętrze, a drugi na parterze u prof. Juliusza Starzyńskiego. W Polsce był wówczas brak telefonów. Pod tym względem liczby telefonów na 100 mieszkańców mieliśmy ich chyba ok. 5 i „prześcigaliśmy” tylko Albanię. Był to wynik strategii reżimu, aby Rodacy nie komunikowali się za bardzo ze sobą. Oczywiście większość telefonów wówczas znajdowała się w domach urzędującej kadry kierowniczej biurokracji i aparatu partyjnego.

Sytuacja w rodzinie Jasieńskich bardzo dobrze charakteryzowała ogólną sytuację polskiej „inteligencji pracującej” w owym czasie. Chociaż pan Jerzy był na wysokim stanowisku, to jednak jego pensja nie starczała na utrzymanie domu z dwojgiem dzieci. Pani Krystyna musiała dorabiać bardzo nudnym i praco-chłonnym przepisywaniem nut. Ponieważ dobrze znała języki obce, a zwłaszcza francuski, podjęła pracę w Centralnym Zarządzie Cyrków. Jeździła z naszymi artystami, w tym i Cyganami, po całej Zachodniej Europie. Bardzo często jej podopieczni, tak oszczędzali na dietach, że nie mieli sił na występy i wezwany lekarz zwykle zapisywał coś do zjedzenia. Jednak inny przypadek z jej pracy jest bardziej charakterystyczny. Jeden z jej kolegów kiedyś opowiadał o wielkim polskim patriocie i dobroczyńcy hr. Włodzimierzu Łęskim, który bardzo pomagał na Wileńszczyźnie Rodakom, z którymi zetknął się osobiście. Pani Krystyna słuchała tej opowieści z największym zainteresowaniem, bowiem owym dobroczyńcą był jej... ojciec, który zginął na Łubiance. Ale tego nie powiedziała kole-dze, bowiem bała się, że ją albo męża usuną z pracy. Tym smutniejsze to było, że z uwagi na pracę w ministerstwie męża, była lekko bojkotowana przez swe arystokratyczne rodziny Łęskich, Druckich-Lubeckich, Krasickich, czy Żół-towskich.

Dziś pani Krystyna poszła w ślady Ojca i działa bardzo ofiarnie w warszawskim hospicjum, pomimo już bardzo podeszłego wieku. Dzięki dzieciom rodzice często podróżują do Ameryki Północnej i gdzie indziej. W czasie tych wojaży pani Krystyna prowadzi bardzo systematycznie dziennik podróży, bez przerwy zadaje pytania i notuje odpowiedzi. Ciągłe się uczy i przez to jest du-chem młodą, pomimo swych osiemdziesięciu lat.

Innym niemal stałym partnerem brydżowym, który grywał w naszym domu była ciocia Lula Tokarzewska i jej drugi mąż Gleb Pulewicz. Wuj Gleb był przyjacielem domu od 30 lat co najmniej, kiedy wyemigrował z Rosji po Rewo-lucji 1917 r. Skończył szkołę paziów na dworze carskim i szykował się do karie-ry wojskowej, idąc w ślady ojca-generała. Od dawna podkochał się w cioci Luli, która była szalenie atrakcyjną kobietą i jak każda piękna kobieta umiała swoją urodą posługiwać się tak samo sprawnie jak mężczyzna, który ma władzę polityczną czy finansową. Kiedy jej pierwszy mąż Wiluś nie wrócił z Katynia, ciocia spełniła marzenia Gleba i wyszła za niego za mąż. Mój nowy wuj nie miał lekkiego pożycia z nią, ciotka już starzejąca się, wiecznie go strofowała, nawet w towarzystwie, zwłaszcza, gdy nieco dłużej łyżką mieszał herbatę w szklance. Wuj nigdy nie śmiał zaprotestować, tylko wyprężał się, jak przed dowódcą i pod nosem szeptał „no tak”. Nigdy nie wiedziałem, czy był to protest czy aprobatą. Znosił to godnie i wydawał się nawet szczęśliwy. Dziś nie jedno małżeństwo z tego powodu rozeszłoby się.

Siostrą cioci Luli była ciocia Tunia Dobrowolska, która przesiedziała 10 lat w więzieniu za organizowanie przerzutów ludzi, w tym polityków (m.in. z oto-czenia St. Mikołajczyka) za granicę. Była właścicielką ekskluzywnej restauracji „Watra” w Zakopanem, toteż знаła odpowiednich przewodników-górali, którzy

znali z kolei Tatry jak swą własną kieszeń. W latach 1940. wielu Rodaków uciekało tą drogą na Zachód. Po wielu latach jej syn Janek zaprojektował pierwsze międzynarodowe lotnisko na Okęciu. Jak wszystkie budowy wówczas i ta szła bardzo ospale. Zakończenie budowy reprezentacyjnego lotniska było jakby prywatną sprawą, nikogo z władz nie interesowała ta budowa. Nic dziwnego, że ambitny architekt w trakcie budowy rozchorował się na serce.

Tak się składa, że drugie międzynarodowe lotnisko zostało zaprojektowane przez innego mojego kuzyna arch. Janusza Targowskiego. Ponieważ projektował w ramach firmy austriackiej, tym razem budowa posuwała się sprawniej niż pierwsza. Po wybudowaniu lotniska, Janusz nie był zadowolony z wyników, bowiem wiele elementów zostało w trakcie budowy zmienionych i w rezultacie lotnisko nie wygląda tak ciekawie, jak powinno się prezentować pod koniec XX wieku.

Z najmłodszą siostrą cioci Luli, ciocią Jadzią Dudzińską, wiąże się interesująca sprawa. Otóż we wrześniu 1939 r. Ojciec mój został mianowany cywilnym komisarzem Bydgoszczy i aby tam dojechać pożyczył od Dudzińskich ich prywatny samochód, polskiego fiata. Ojciec nie dojechał do Bydgoszczy bo w drodze, podczas jednego z licznych nalotów i związanym z tym kryciem się, auto przywłaszczył sobie towarzyszący mu major. Może i dobrze się stało, że Ojciec nie dojechał do Bydgoszczy, gdyż Niemcy wkrótce po jej zajęciu urządzili masakrę Polaków. Po wojnie ciocia upomniwała się o auto u Mamy. Właściwie powinna się była upominać o nie u nowych władz państwowych PRL. Raczej nie śmiała tego robić, ponieważ mąż jej został zamordowany w Katyniu i dlatego wołała trzymać się z dala od przedstawicieli wrogiej władzy. Została wdową z dwoma synami Zbyszkciem i Rysiem, którzy byli starsi ode mnie i szybciej niż ja podjęli studia i pracę.

Jedynym wojskowym w mojej rodzinie, który przeżył wojnę jest stryj Tadeusz Targowski, przedwojenny zawodowy porucznik artylerii, który pod Warszawą we wrześniu w 1939 r. dostał się do niewoli i resztę wojny przeżył w niemieckim oflagu, gdzie m.in. siedział z synem Stalina. Po wyzwoleniu w Niemczech ożenił się z Ireną Chobrzyńską, którą przywiózł do Polski. Był zawodowym oficerem, ale LWP odmówiło przyjęcia przedwojennego oficera w swoje szeregi. Bardzo nad tym cierpiał, bowiem kochał wojsko. Takich jak on nieprzyjętych albo zwolnionych, aresztowanych, czy zamordowanych było dziesiątki tysięcy. Z tego, co wiemy dzisiaj, można powiedzieć, że miał szczęście, że pozostał cywilem.

Pracował jako zaopatrzeniowiec (w międzyczasie skończył prawo) w różnych Zjednoczeniach przemysłu, w jednym z nich przyszedł do niego po cywilnemu inny zaopatrzeniowiec gen. dr Roman Abraham. Stryj b. porucznik, zameldował się sprężyscie b. generałowi, ku zdziwieniu innych pracowników, po czym podstemplował przepustkę gościowi jako dowód, że generał wyszedł ze swojego biura załatwiać służbowe sprawy. W państwie proletariackiej dyktatury władze nie wierzyły nikomu i systemem przepustek próbowały zmusić ludzi do pracy.

U stryjostwa bywało wielu byłych wojskowych, zwłaszcza tych, którzy powrócili z Zachodu z naszywką na ramieniu „Poland”. Córka stryja — Marysia przeniosła się do Toronto, gdzie wyszła za mąż za Janusza Budziakowskiego, dyrektora ds. inwestycji w tamtejszym Ministerstwie Ochrony Środowiska. Marysia, nie nostryfikowała dyplomu magistra prawa (bowiem tego nie da się zrobić z uwagi na inny system prawny) i pracuje w bibliotece Uniwersytetu Torontowskiego. Ich synowie Michał i Tomek do wieku szkolnego prawie nie umieli mówić po angielsku, bowiem cały czas w domu uczono ich polskiego.

Większość najbliższej rodziny mojej Mamy pozostała po 1917 r. w Sowieciech, jedynie pewna liczba jej koleżanek ze stancji w Kijowie wydostała się z tego kraju. Mama była z nimi bardzo blisko związana, a ja mówiłem do nich „ciociu”. Wymienię tu ciotki Irenę, Halinę i Basię Fedeckie oraz Sabkę Orlewską. Po wojnie często odwiedzaliśmy się, zwłaszcza podczas licznych imienin. Bywał na nich Mamy kolega z Kijowa Bogdan Hopfer, znany pianista muzyki rozrywkowej, pod którego nazwiskiem funkcjonuje sympatyczna kawiarnia na Krakowskim Przedmieściu.

Jedną z takich koleżanek Mamy była Stasia Loesche, której mężem był pan Kazimierz, po wojnie dyrektor techniczny Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach. Jeździłem często na wakacje do nich, mieli bardzo ładną willę i równie ładne dwie córki Danę i Krysę. Pan Kazimierz Loesche przed wojną praktykował we francuskim przemyśle samochodowym wraz z kolegami Stanisławem Matyką i „Fantusiem” Nowickim. W czasie wojny walczyli w Wojsku Polskim na Zachodzie a po wojnie wrócili, by uruchomić polski przemysł motoryzacyjny. Wkrótce przenieśli się do Warszawy. W ciągu wieloletniej przyjaźni tylko raz spotkałem przyrodniego brata pana Kazika, ministra Mieczysława Lesza.

Obaj na stanowiskach (jeden bezpartyjny), ale jakoś nie przepadali za sobą. Minister wolał nie bratać się za bardzo z ludźmi bądź co bądź, przybyłymi z Zachodu. Z drugiej strony był to bardzo energiczny minister handlu, który go dobrze zmodernizował, wprowadzając po raz pierwszy samoobsługowe sklepy. Potem był w odstawce w Komitecie Nauki i Techniki, gdzie zaczął popularyzować zastosowania metod matematycznych w optymalizowaniu decyzji gospodarczych. Chyba tym jeszcze bardziej naraził się swojemu „układowi we władzach”. Władza z reguły nie lubiła inteligentów a tym bardziej „matematyków”, których panicznie bała się jeszcze od czasów szkolnych.

Pan Kazimierz lubił mnie i nawet cenił. Swego czasu zapytał mnie, czy warto kupić komputer dla Biura Konstrukcyjnego Przemysłu Motoryzacyjnego. Odradziłem mu wówczas, bowiem w latach 1960. były dostępne komputery polskiej produkcji typu Odra 1003, prawie bez pamięci i z wejściem na taśmę papierową. Pan Kazimierz miałby z takim komputerem więcej kłopotu niż pożytku. On też to wiedział, ale na wszelki wypadek poradził się mnie. Był świetnym praktykiem i cenił proste rozwiązania inżynierskie.

W owym okresie w Polsce prawie że nie było prywatnych samochodów, „motoryzacja” sprowadzała się do jeżdżenia motocyklami krajowymi WFM-kami,

SHL-kami, Junakami, skuterami Osa czy czeskimi Javami. Nie było ich jednak w wolnej sprzedaży, trzeba było mieć tzw. „talon” na zakup. Talony były przydzielane w zakładach pracy według uznania dyrekcji. Jako student nie miałem szans na talon, więc poprosiłem p. Kazimierza o pomoc. Ten zwrócił się do ministra Handlu Wewnętrznego, którym był jego przyrodni brat Mieczysław. Minister przydzielił aż 100 talonów Polskiemu Związkowi Motorowemu, skąd jego prezes inż. Pijanowski przydzielił mnie jeden talon a drugi koledze ze studiów Markowi Żelawskiemu. Oczywiście za motocykl trzeba było płacić gotówką, talon tylko umożliwiał transakcję. Odtąd jeździliśmy z Markiem zawzięcie tak po Warszawie jak i po kraju z wycieczkami, zwłaszcza na Mazury. Wkrótce prześiadłem się na samochód typu Polski Fiat Topolino, z przedwojennej produkcji. Był zgrabny, mały, także palił mało paliwa. Z Mamą jeździliśmy do kościoła Zbawiciela o dwa przystanki oddalonego od naszego domu. Mama zakładała duży kapelusz i miała wrażenie, że jest w przedwojennej Warszawie, tym bardziej, że auto było faktycznie przedwojenne. Tylko tym razem nie do „Adrii” a do kościoła Zbawiciela się jechało. Samochód parkowałem w bramie przy ul. Szucha 3, za zgodą dozorczy i ku zadowoleniu lokatorów, którym podobało się, że ktoś w kamienicy ma samochód. Dziś oczywiście parkowanie auta w bramie byłoby niemożliwe.

Szczególną rolę w moim chłopięcym życiu odegrał Mietek Mołdawa, który cało wrócił z obozu koncentracyjnego i obdarzył Mamę, i mnie swą szczerą przyjaźnią, mocniejszą od niejednych więzów rodzinnych. Był wdzięczny Mamie za paczki a Tacie za kierunek i psychiczną opiekę „ojcowską” w obozie. Teraz takową opieką obdarzył mnie.

Dzięki niemu zostaliśmy wciągnięci do Klubu b. Więźniów Gross-Rosen, co wiązało się z licznymi spotkaniami z okazji rocznic, a także spotkaniami towarzyskimi. Podczas takich spotkań Mama z reguły była zapraszana do prezydium, co bardzo lubiła. Na jednym z nich spotkałem Jerzego Albrechta, w owym czasie chyba ministra Finansów. Siedzieliśmy w wynajętej restauracji Hotelu Europejskiego przy jednym stole i jedliśmy kolację. On, który dostawał paczki od Mamy, a z Ojcem ciągle dyskutował o polityce, ze mną nie zamienił ani jednego zdania. Czekałem aż mi coś powie o Ojcu albo zapyta się co porabiam, on najwidoczniej miał w głowie ważniejsze sprawy. Ot tak wpadł, aby nie zrobić przykrości Mietkowi, koledze z obozu. Nie zauważyłem by i z innymi obozowiczami witał się i rozmawiał, z dala łaskawie pomachiwał im ręką. Wszelako muszę być sprawiedliwy i stwierdzić, że Albrecht był dobrym ministrem finansów (jak na owe czasy i panujący wówczas system). Na różnych plenach partii domagał się bez skutku rachunku efektywności inwestycji. Gomułka zaliczył go do reformatorów a nie „naprawiaczy” reżimu i szybko odesłał na emeryturę.

Było to jedno z moich trzech prywatnych spotkań z ówczesnymi „dygnitarzami”, które miało podobny przebieg. Ludzie ci byli bardzo wyobcowani ze środowiska spoza układu władzy i woleli nie ryzykować rozmów z „niepewnymi” osobami. Piszę te wspomnienia w USA, gdzie taki model zachowania się tutej-

szych „dygnitarzy” jest nie do pomyślenia. W demokratycznym ustroju polityk musi dbać o każdy głos i opinię niemal każdego spotkanego. Poza tym sens demokracji polega na tym, że nikt w niej nie zadziera nosa. Wszyscy bowiem są równi wedle prawa. W demokracji ludowej PRL byli zawsze równi i bardziej równi, ci ostatni umieli to nawet dać spotkanemu do zrozumienia. Na „górze” panowały podobnie sztuczne stosunki międzyludzkie. Gdy Gomułka był w łaskach, to Breżniew całował się z nim przy każdej okazji. Gdy Gomułka odszedł w niełaskę w 1970 r. to Breżniew już go „nie znał”. Zaczął się znów obcałowywać z następcą Gomułki, towarzyszem Gierkiem. Wilcze stosunki, biada być słabym w tym „najbardziej humanitarnym” ustroju.

Co zaś do Mietka Mołdawy, to wspomnę, że po powrocie z obozu koncentracyjnego skończył on architekturę i z profesorem Romualdem Guttem zaprojektował i wybudował Muzeum Pawiaka na granicy b. Getta w Warszawie. Odtąd bardziej go pasjonowała działalność na rzecz Klubu b. Więźniów Gross-Rosen niż architektura. Napisał o tym obozie książki i nawet zeznawał jako ekspert o obozach śmierci na jednym z procesów przeciw oprawcom hitlerowskim w Stanach Zjednoczonych. Dzięki Mietkowi otarłem się o wielką historię świata. Mietek ożenił się bowiem z Izą Skarżyńską, której pradziad generał Skarżyński uratował życie Napoleonowi, na którego była zorganizowana zasadzka. W nagrodę Cesarz przyznał Generałowi i jego męskiemu potomkowi rentę w wysokości 4 ludwików oraz przywilej dopuszczenia na studia wojskowe w sławnej *Ecole St. Cyr* we Francji. Ojciec Izy wciąż dostawał rentę od Ambasady Francuskiej w Warszawie, nie zwaloryzowaną inflacją, ale na studia wojskowe nie poszedł, skończył politechnikę. Za rentę ową, po prawie 200 latach, mógł sobie kupić koszulę.

Szkoła im. Wojciecha Górskiego

W 1948 r. zostałem przyjęty do dość ekskluzywnej wówczas szkoły im. Wojciecha Górskiego, przy ul. Smolnej 30. Uczęszczała do niej młodzież pochodząca z rodzin z tzw. inicjatywy prywatnej i wolnych zawodów, czyli mający zaможnych rodziców, jak na ówczesne warunki. Nosiliśmy czapki w stylu francuskiej *kepi*, budząc duże zdziwienie np. w Krakowie, dokąd raz wybrałem się w podróż w tej czapce. W stolicy czapka ta nie budziła aż takiego zdziwienia. Wśród młodzieży było wielu dorosłych chłopców, którym okupacja zmarnowała lata nauki. Pamiętam wśród nich Ludwika Erhardta, późniejszego znanego krytyka muzycznego.

Najpopularniejszym uczniem był Wojtek Noszczyk, wyśmienity lekkoatleta, który potrafił na ubitym klepisku naszego boiska przebiec 60 m w 7,3 sek. Większość koleżanek podkochiwała się w nim, wybitnie przystojnym, w dobrym stylu chłopaku, synu lekarza. Obecnie jest znanym profesorem chirurgiem-gastrologiem, ożeniony z aktorką. Byłem z nim kiedyś na obozie szkolnym pod Łabskim Szczytem w Karkonoszach. Ukradziono mi tam zegarek szwajcarski